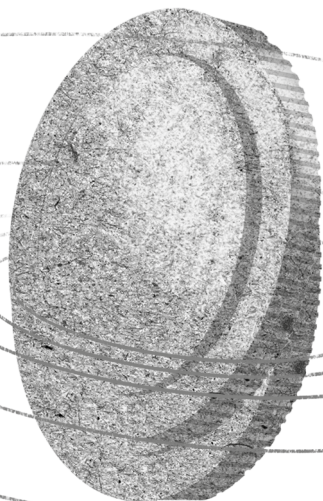


ZBIGNIEW NIENACKI



PAN SAMOCHODZIK
i ZAGADKI FROMBORKA



Zbigniew Nienacki
Pan Samochodzik i zagadki Fromborka
powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-481-2

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

ROZDZIAŁ I

Po przyjeździe z nad Loary – Nowe zadanie – Kto rozwiązuje zagadki Fromborka – Pierwszy schowek pułkownika Koeniga – Trzy bezcenne monety – Podejrzana sprawa – Kim jest tajemnicza para? – Co wykazało śledztwo? – Sprawa o kryptonimie „Dukat Łokietka”

Powróciłem z Francji, gdzie spędziłem miesiąc urlopu. Zaledwie przystąpiłem do swych zwykłych zajęć w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdy wezwał mnie do siebie dyrektor Marczak, mój bezpośredni zwierzchnik.

Minął już czas mej pracy w prowincjonalnych muzeach, kiedy to tylko z amatorstwa zajmowałem się rozwiązywaniem zagadek historycznych i poszukiwaniem zaginionych podczas wojny skarbów kultury. Zrezygnowano również ze mnie jako kustosa małego muzeum na wsi. Otrzymałem mieszkanie w Warszawie i etat w ministerstwie. Formalnie byłem tylko skromnym referentem w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków, w rzeczywistości jednak pracowałem jako człowiek do specjalnych poruczeń, coś w rodzaju detektywa. Nie należy oczywiście sądzić, że zajmowałem się pilnowaniem gablot lub ściganiem włamywaczy do sal muzealnych (niestety, i tacy bywają). Poruczano mi sprawy, które niekiedy zupełnie nie nosiły cech przestępstwa, a przecież mogły nasz kraj narazić na poważne straty w dziedzinie kultury. Na przykład często odwiedzałem sklepy z dziełami sztuki, interesując się za-

wieranymi tam transakcjami, bacząc, aby jakiś cenny zabytek (z jego ogromnej wartości niekiedy nie zdawał sobie sprawy nawet sam sprzedający) nie trafił w niepowołane ręce. Przyglądałem się również działalności różnego rodzaju handlarzy antyków i dzieł sztuki. Roboty zresztą miałem mnóstwo, dziedzina ochrony zabytków raz po raz przynosi niespodzianki i zagadki. Kto śledzi prasę, ten chyba pamięta sensacyjne wiadomości związane z odkryciem w małym kościółku wiejskim obrazów przypisywanych sławnemu malarzowi El Greco, o odkryciu obrazów Cranacha na strychu jednego ze starych kościołów, o aferze z bezcennymi witrażami. W tych wszystkich sprawach brałem udział jako rzeczoznawca Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków. W kręgu moich zainteresowań leżały również poszukiwania zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji. To wszystko chyba wyraźnie świadczy, jak różnorodne miałem zajęcia i jak wiele musiałem przeżyć przygód, o których zapewne warto będzie kiedyś napisać.

Podobnie, jeśli znajdę trochę czasu, opiszę czas spędzony we Francji, dokąd pojechałem na zaproszenie Karen Petersen, córki słynnego poszukiwacza skarbów, kapitana Petersena. Cały lipiec zajmowałem się wraz z Karen rozwiązywaniem tajemnic jednego z przepięknych starych zamków nad Loarą, gdzie przeżyliśmy mnóstwo dramatycznych i fascynujących wydarzeń, naprawdę godnych oddzielnej książki.

Ale oto powróciłem już do kraju. Był pierwszy sierpnia i pierwszy dzień mojej pracy po urlopie.

– Oczekiwałem pana z niecierpliwością – powiedział mój zwierzchnik, dyrektor Marczak. – Mam bowiem dla pana nowe, bardzo ważne zadanie.

– Domyślam się, o co chodzi – odrzekłem. – O zagadki Fromborka?...

– A skąd pan o nich wie? Przecież dopiero wczoraj przyjechał pan z Francji.

– Pisała o nich francuska prasa. Wszystko, co jest związane z miastem, gdzie Kopernik dokonał swoich wielkich odkryć, interesuje cały świat. Z prawdziwą satysfakcją wezmę się do zagadek Fromborka.

Dyrektor Marczak przecząco pokręcił głową.

– Niestety, muszę pana rozczarować. Zagadkami Fromborka już od trzech tygodni zajmuje się pański kolega, magister Pietruszka. Udało mu się odnaleźć jedną z trzech kryjówek, w których pułkownik Koenig schował zrabowane w Polsce zabytki. Odzyskaliśmy bezcenne dzieła sztuki, panie Tomaszu, i nie widzę powodu, dla którego miałbym sprawę zagadek Fromborka odbierać koledze Pietruszce i przekazywać ją panu.

– Nic nie słyszałem o odkryciu schowka Koeniga...

– Nie nadawaliśmy tej sprawie rozgłosu. I tak za dużo było szumu w związku z odnalezieniem zwłok pułkownika Koeniga i planu jego trzech kryjówek. Nie chcemy we Fromborku wścibskich dziennikarzy ani też poszukiwaczy skarbów. Dopiero po odnalezieniu wszystkich kryjówek i wydobyciu z nich skarbów, zorganizujemy konferencję prasową. A do pańskiej wiadomości podaję: jeden ze schowków został przez Pietruszkę już odkryty, skarby są w piwnicach Muzeum Narodowego. Jeśli pan chce je obejrzeć, proszę skontaktować się z dyrektorem muzeum, zapewne zgodzi się je panu pokazać.

– Hm... – chrząknąłem ze smutkiem.

– Niech pan nie „hmyka” – powiedział dyrektor Marczak. – Bardzo tego nie lubię. Wiem, że między panem i magistrem Pietruszką istnieje duży antagonizm. Kolega Pietruszka niejednokrotnie żalił się, że dajemy panu do rozwiązania najciekawsze zagadki, a jego pozostawia się w cieniu, przez co nie ma on możliwości

wykazania swoich talentów detektywistycznych. Wyznaję, że nawet ucieszyłem się, gdy ujawniła się sprawa zagadek Fromborka, a pan był za granicą. Bo z czystym sumieniem mogłem tę sprawę przekazać koledze Pietruszce. I jestem z niego bardzo zadowolony. Odnalazł już pierwszą kryjówkę.

Przyłożyłem dłoń do piersi i rzekłem uroczyście:

– Oświadczam panu, dyrektorze, że w ogóle nie będę się interesował zagadkami Fromborka. Kolega Pietruszka może spokojnie poświęcić się swojej pracy, bez obawy, że mu wejdę w paradę. A teraz czekam na swoje zadanie.

– A tak. Przystąpmy do dzieła – zgodził się dyrektor Marczak, otwierając swój notatnik. – Jak pan wie, panie Tomaszu – mówił – uważnie śledzimy politykę zakupów, prowadzoną przez poszczególne polskie muzea, i o tych zakupach staramy się mieć pełną informację, szczególnie jeśli dotyczą przedmiotów o dużej wartości. Otóż na przestrzeni minionego tygodnia aż z trzech muzeów w różnych miastach Polski otrzymałem następujące wiadomości: muzeum K. nabyło od prywatnego posiadacza srebrny denar „Gnezdun civitas”. Muzeum w L. nabyło denar Mieszka I...

– Co? – aż zerwałem się z fotela.

– A tak, tak, proszę pana. Denar Mieszka I. I niech pan siada, panie Tomaszu – powiedział dyrektor Marczak. – Niech pan siada i mocno trzyma się fotela, bo to jeszcze nie koniec rewelacji. Muzeum w Łodzi nieznany nam kolekcjoner zaproponował... słynny „brakteat Jaksy”.

– Co?! – wykrzyknąłem, nie wierząc własnym uszom. Nie zerwałem się już jednak z fotela, mocno trzymając się poręczy.

– Tak, panie Tomaszu – ciągnął dalej dyrektor Marczak – podzielam pańskie zdumienie. W ciągu jednego tygodnia na rynek numizmatyczny wpłynęły nagle jedne z najciekawszych i najstarszych polskich monet. Stwierdzić też muszę, że chociaż niektóre

z wymienionych tu okazów ze względu na swoją rzadkość są po prostu bezcenne, sprzedający proponowali ceny niewygórowane, ale sięgające kilkudziesięciu tysięcy złotych za okaz.

– Niesłychane!... – nie mogłem wciąż opanować zdumienia.

– Dlatego każde z wymienionych muzeów traktowało tę sprawę jako jedyną w swoim rodzaju okazję i szybko, bez specjalnych formalności, dokonywało zakupu. Dopiero tutaj, w departamencie, zbierając informacje o tych zakupach, poczuliśmy niepokój.

– Czy w każdym przypadku sprzedawcą była jedna i ta sama osoba?

– Nie. Muzeum w K. kupiło denar „Gnezdun civitas” od jakiegoś mężczyzny, muzeum w L. kupiło denar Mieszka I od jakiejś kobiety.

– Przy tego rodzaju transakcjach sporządza się rachunek, notuje dane personalne sprzedającego...

– Otóż to, panie Tomaszu. Zbadaliśmy dość dokładnie tę sprawę. Okazało się, że sprzedający zostali podstawieni.

– Jak to pan rozumie?

– Transakcje odbywały się w sposób następujący: najpierw był telefon do muzeum. Anonimowy człowiek proponował sprzedaż bezcennej monety i wyznaczał spotkanie w kawiarni dla obejrzenia monety. Na pytanie, skąd ma tę monetę, odpowiadał: „Informacji udzielać nie będę. Chcecie kupić czy nie? Jeśli nie, to żegnam”. Ponieważ były to wyjątkowe okazy i oferowano je stosunkowo tanio, chciało je mieć każde muzeum, zresztą sprzedający nie musi zdradzać swych tajemnic. Może odpowiedzieć: „Znalazłem monetę na strychu w starym kufrze” i kto mu udowodni, że tak nie było? Dokonywano więc formalnych transakcji, sprzedający odbierał pieniądze, a następnie szedł na miejsce umówione z tym, kto mu powierzył monetę. Oddawał pieniądze i otrzymywał prowizję w wysokości tysiąca złotych. Za każdym razem, jak wynika z opisów,

które nam dali fikcyjni sprzedawcy, faktycznym sprzedawcą był ktoś inny: jakaś elegancka dama, jakiś elegancki pan.

– Co nie oznacza, że to nie była spółka czy szajka złożona z paru osób – powiedziałem.

– Oczywiście. A nawet na pewno jest to jakaś kilkuosobowa szajka. Przecież to nie może być przypadek, że w jednym tygodniu oferowano do sprzedaży aż trzy wyjątkowe okazy monet.

– Czy zawiadomiliście milicję?

– Tak. To przecież dzięki milicyjnemu śledztwu wiemy, że sprzedający monety zostali podstawieni i za ich plecami krył się ktoś inny. Ale cała ta sprawa, choć podejrzana, nie daje przecież podstaw do wszczęcia formalnego śledztwa i angażowania organów ścigania. Nie nosi ona bowiem cech przestępstwa. Każdy człowiek w Polsce ma prawo sprzedawać w muzeum czy w sklepie Desy jakieś stare zabytkowe monety, będące w jego posiadaniu. Oczywiście nie jest w porządku, że ktoś, zamiast samemu pójść do Desy lub do muzeum, wysłał tam kogoś innego i daje mu za to prowizję. Ale zawsze się może z tego wytłumaczyć, powiedzieć, że ma jeszcze wiele innych monet, a nie chciał być nagabywany przez numizmatyków. Wie pan, jak to jest ze zbieraczami. Jak się dowiedzą, że ktoś ma bogate zbiory, zaczną go nachodzić, proponować obejrzenie, wymianę, sprzedaż, kupno i tak dalej. Ten ktoś ma prawo pozostać anonimowy. I choć zachowuje się podejrzanie, przecież nie musi być przestępcą. Tym bardziej, proszę pana, że nie zgłaszano milicji, aby komukolwiek w Polsce zginęła, została skradziona lub zrabowana kolekcja starych monet. A więc okazy sprzedawane do muzeów nie pochodzą z kradzieży i dlatego nie ma podstaw do wszczęcia formalnego śledztwa. Mogły one zostać przypadkiem gdzieś znalezione. W czasie minionej wojny zginęło przecież sporo różnego rodzaju kolekcji. I należy się tylko cieszyć,

że anonimowy znalazca, zamiast kryć je w jakimś schowku, oferował tak cenne okazy muzeum za niewygórowaną cenę.

– Może nie miał pojęcia o wartości towaru, który oferował?

– Nie, proszę pana. W telefonicznych rozmowach z kustoszami muzeów określał monety bardzo fachowo, mówił, że są bezcenne, ale że orientuje się w skromnych środkach finansowych, jakimi dysponują muzea, i dlatego proponuje takie niskie ceny. Chciałby bowiem, aby te monety znalazły się w muzeach, a nie u prywatnych kolekcjonerów.

– W pewnym sensie to nawet bardzo uczciwe postawienie sprawy.

– A tak. I to głównie zdecydowało, że nie widzimy potrzeby angażowania milicji, ale właśnie panu dajemy zadanie zbadania tej historii.

Zastanowiłem się chwilę.

– Jak mam trafić na ślad tajemniczego „ktosia”? – zapytałem.

– Wspomniałem panu, że muzeum w Łodzi otrzymało propozycję kupna „brakteatu Jaksy”, księcia na Kopanicy. Ofertę złożyła jakaś kobieta. Zaproponowała dokonanie transakcji w kawiarni Honoratka jutro o godzinie dwudziestej. Kustosz muzeum ma przyjść na spotkanie i przynieść pieniądze. Tajemnicza kobieta oświadczyła, że zna kustosza z wyglądu, sama podejdzie do jego stolika i się z nim rozmówi. Wręczy mu monetę i odbierze pieniądze. Proponuję, żeby pan pojechał jutro do Łodzi i o wyznaczonej godzinie zjawił się w kawiarni, niezależnie od kustosza. Obejrzy pan sobie tę panią, no a reszta już należy do pana.

– Transakcja ma być dokonana?

– O, tak. Przecież to bezcenna moneta, a chce za nią tylko trzydzieści tysięcy złotych. Tej sprawie nadaję kryptonim...

W tym momencie na biurku dyrektora Marczaka odezwał się telefon.

– Tak, słucham, tu Marczak – powiedział w słuchawkę.

Po dłuższej chwili na jego twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Potem dyrektor Marczak krzyknął do telefonu:

– Co takiego?! Chce mi pani sprzedać złoty dukat Łokietka? Ależ to chyba żart... Nie istnieje drugi egzemplarz tego dukata. Co takiego? Pani twierdzi, że pani ma drugi egzemplarz?

Na czoło dyrektora Marcza wystąpiły drobne kropelki potu. A palce tak miał mocno zaciśnięte na słuchawce, że aż zbieleły.

– Proszę pani. Przystaję na każde warunki! – zawołał do telefonu. – Proszę powiedzieć, gdzie i kiedy możemy się spotkać. Tak, przyniosę pieniądze, ale pani musi najpierw pokazać mi tę monetę. Ja pani nie wierzę. Nie istnieje drugi egzemplarz dukata Władysława Łokietka... Co? Pani jeszcze do mnie zadzwoni?... Halo, halo!... – wołał do telefonu dyrektor Marczak.

Ale wołał na próżno. Kobieta, która dzwoniła, odłożyła słuchawkę.

Dyrektor Marczak długą chwilę siedział w fotelu za swoim biurkiem. A potem powiedział do mnie cicho, jakby mu sił brakowało:

– Tej sprawie nadaję kryptonim „Dukat Łokietka”.

I dodał błagalnie:

– Panie Tomasz. W panu moja cała nadzieja...

ROZDZIAŁ II

Skarby narodowe – Tajemnica trzech monet – Numizmatyczne yeti – Kłopoty z księciem Jaksą – Złoczyńcy czy kolekcjonerzy – Moja tajna misja – W Honoratce – Pojawienie się Waldemara Batury – Geniusz zła – Batura odpowiada na kilka pytań – Rzucana rękawica – Jeden zero dla Batury

Do Łodzi pojechałem następnego dnia, zaraz po południu. Drogę odbyłem moim pokracznym wehikułem, ponieważ musiałem być przygotowany na wszelkie ewentualności, gdy będę próbował ustalić personalia tajemnicznej damy, skłonnej sprzedać „brakteat Jaksy”. Okoliczności sprawy, a przede wszystkim ów dziwny telefon od dyrektora Marczaka w związku z dukatem Łokietka, kazały sądzić, że czeka mnie trudna do rozwiązania zagadka. Nie żałowałem więc, że ominęły mnie zagadki Fromborka. Kryjówki ze skarbami ukrytymi przez hitlerowskiego rabusia? Tak, to brzmi bardzo efektownie. Zaręczam wam jednak, że hasło wywoławcze: „Dukat Łokietka” w równym stopniu może zelektryzować każdego muzealnika.

Droga do Łodzi jest szeroka i prosta, niekłopotliwa dla kierowcy. Mój wehikuł niósł mnie bezpiecznie i wiedziałem, że nie sprawi mi żadnych przykrych niespodzianek. Podczas pobytu we Francji, w nagrodę za udział w rozwikłaniu tajemnic zamku nad Loarą, kapitan Petersen zamówił we włoskiej firmie Pinin Farina silnik do mego wehikułu i nowe gumy. Kosztowało to mniej więcej tyle

samo, co nowa elegancka simca albo nawet peugeot. Ale nie chciałem rozstać się ze swoim pokracznym samochodem, który tylekroć wyniósł mnie z najróżniejszych niebezpieczeństw. Traktowałem go jak swego najlepszego pomocnika i przyjaciela. Zaopatrzone w nowy silnik i nowe ogumienie – jakże mógł mnie zawieść albo odmówić posłuszeństwa? Jechałem nim po dobrej drodze i mogłem rozmyślać o otrzymanym od dyrektora Marczaka zadaniu.

Wiedziałem, że muszę je wykonać delikatnie, z największym taktem, któż bowiem mógł zaręczyć, czy za tą historią nie krył się słynny jakiś kolekcjoner. W grę wchodziły jednak skarby narodowe i konieczna się wydawała informacja o ich pochodzeniu.

Skarby narodowe. Pod tym określeniem każdy wyobraża sobie ogromne sale muzealne czy wielkie wawelskie komnaty obwieszane arrasami, obrazami dawnych mistrzów, klejnoty koronne, broń, wspaniałe meble, ongiś używane przez królów. Ale skarby narodowe, których pochodzenie miałem wyjaśnić, mogło skryć w swej dłoni... niemowlę. Tak, nawet piąstka małego dziecka była wystarczająco duża, aby zawrzeć ów skarb. Żadna z tych rzadkich i bezcennych monet nie przekraczała swą wielkością paznokcia dorosłego mężczyzny i każda była niewiele grubsza od paznokcia. A jednak te małe przedmioty są strzeżone w naszych muzeach na równi z efektownymi arrasami i wspaniałymi obrazami. Są one bowiem równie ważne dla historii kultury naszego narodu. Ich opis i fotografie znaleźć można w wielu książkach i podręcznikach. Nie znajdziecie ich jednak w żadnym cenniku. One bowiem nie mają ceny.

Czy rozumiecie już, dlaczego po pierwszych słowach dyrektora Marczaka zerwałem się z fotela i słuchałem jego wyjaśnień z najwyższym zdumieniem?

Denar Mieszka I. Pierwsza polska moneta. Do tej pory ludność zamieszkująca Polskę albo stosowała handel wymienny, albo też używała monet arabskich czy jeszcze dawniejszych, rzymskich,

lub zgoła bryłek srebra i pokruszonych ozdób. Dopiero Mieszko I, zapewne wkrótce po akcie swego chrztu, kazał wybić własną monetę, podobnie jak ówcześni książęta czescy czy niemieccy. Albowiem moneta z imieniem panującego była widowym znakiem suwerenności kraju, dowodem istnienia władzy książęcej, nie tylko dla obcych, ale i dla własnych poddanych. Czy dużo wybito tych monet? Fachowcy-numizmatycy obliczają, że denarów Mieszka I wybito od dwudziestu do trzydziestu pięciu tysięcy sztuk. Ile tych monet przetrwało do naszych czasów? Podobno na całym świecie jest ich zaledwie czterdzieści siedem. Ale już od bardzo dawna na największych zagranicznych aukcjach nie zaobserwowano faktu sprzedaży tej monety, co świadczy o jej niezwyklej rzadkości. Ten mały pieniążek liczy sobie ponad tysiąc lat. Tyle, ile państwo polskie. Jest zrobiony ze srebra, ma średnicę długości osiemnastu i ośmiu dziesiątych milimetra, waży tylko jeden i siedemdziesiąt setnych grama. Na awersie widać jakby odcinek koła z krzyżem i zniekształcone imię księcia Polski. Na rewersie znajduje się prosty krzyż, a między jego ramionami – cztery kule.

I ten właśnie denar został sprzedany muzeum w L.

Ale jeszcze bardziej poruszający wyobraźnię był fakt sprzedaży muzeum w K. denara z napisem „Gnezdun civitas”.

W historii polskich monet zajmuje on drugie miejsce po monecie Mieszka I. Denar z napisem „Gnezdun civitas” wybity został z rozkazu Bolesława Chrobrego dla uczczenia słynnego zjazdu gnieźnieńskiego w tysięcznym roku. Wartość jego jednak przekracza wartość denara Mieszkowego, albowiem jest on unikatem, czyli istnieje w jednym egzemplarzu. Jedyne znany nauce egzemplarz denara „Gnezdun civitas” posiada muzeum Emeryka Czapskiego. Czapski był to przebogaty ziemianin, który cały swój ogromny majątek włożył w kolekcję polskich monet. Umierając, darował swe zbiory państwu i do dziś oglądać je można w Krakowie.

Podobno przed laty istniał jeszcze drugi egzemplarz denara „Gnezdun civitas”, pochodzący ze skarbu wykopanego w Rychnowie, w powiecie Wąbrzeźno. Jeszcze w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku znajdował się on w krakowskim zbiorze bankiera Bochenka, ale później zaginął bez śladu. Posiadaniem drugiego egzemplarza tej monety chwalił się znany przed wojną numizmatyk, Feliks Modrzyński z Warszawy. Lecz numizmatyczno-kolekcjonerzy to fantaści podobni do rybaków i myśliwych...

Denar „Gnezdun civitas” jest jeszcze mniejszy od denara Mieszkowego, ma średnicę osiemnastu i pięciu dziesiątych milimetra, a waży jeden i sześćdziesiąt sześć setnych grama. Na awersie widać głowę w diademie, z naszyjnikami z pereł. Na rewersie widnieje krzyż kawalerski z czterema kulami. Właśnie na rewersie wybito napis „Gnezdun civitas”.

I oto ten właśnie unikalny denar tajemniczy „ktoś” sprzedał muzeum w K. za kilkadziesiąt tysięcy złotych. Skąd się wziął ten egzemplarz w rękach tajemniczego „ktosia”?

Czy zdajecie sobie sprawę, jak bardzo musiało dyrektora Marcza poruszyć takie wydarzenie? A tu jakby jeszcze było mało tych rewelacji, muzeum w Łodzi zawiadomiło Marcza, że zaofiarowano „brakteat Jaksy”, księcia na Kopanicy.

Brakteat (z łacińskiego *bractea*, czyli „blaszka”) to moneta tak cienka, że trzeba ją było wybijać tylko jednostronnie, gdyż na drugiej stronie uwypuklał się negatyw stempla. Trudno powiedzieć, ile dokładnie „brakteatów Jaksy” znajduje się na świecie. Ale w każdym razie jest ich bardzo niewiele; tylko nieliczne muzea mają je w swych kolekcjach. Moneta ta jest niezwykle ciekawa również ze względu na osobę Jaksy, księcia, który kazał ją wybić. Otóż, jak stwierdzają historycy, książę słowiański Jaksa miał w połowie dwunastego wieku swój gród, Kopanicę (inaczej Kopnik), ni mniej, ni więcej tylko w tym samym miejscu, gdzie dziś istnieje

Berlin, a ściślej – dzielnica Köpenick. Ów Jaksza toczył za swego panowania ciężką walkę z margrabią Albrechtem Niedźwiedziem o zachodniosłowiańskie księstwo Brenne, później zwane Brandenburgiem. Początkowo Jaksza nawet zajął Brenne, ale Albrecht wyparł go stamtąd w tysiąc sto pięćdziesiątym siódmym roku. Co się potem stało z Jakszą – nie wiadomo. Niektórzy twierdzą, że zmarł na wygnaniu w Polsce.

Wybity przez Jakszę brakteat ma średnicę osiemnastu i pięciu dziesiątych milimetra, a waga jego wynosi tylko dwadzieścia setnych grama. Widać na nim popiersie księcia z brodą, w prawej ręce książę trzyma miecz, a w lewej gałązkę palmową. Tło zdobią trzy gwiazdy i napis „IACZA DE COPNIC”.

Ta cieniuteńka moneta sprawiała uczonym niemieckim mnóstwo kłopotów, hitlerowscy rabusie szukali jej po wszystkich polskich muzeach i prywatnych kolekcjach, aby ją zniszczyć i w ten sposób wymazać z pamięci fakt, że przed ośmiuset laty w dzisiejszej dzielnicy Köpenick ośmielał się mieć gród słowiański książę imieniem Jaksza.

I oto tajemnicza kobieta chciała „brakteat Jaksy” sprzedać łódzkiemu muzeum. Jakimi drogami trafił on do jej rąk? Kim był ten „ktoś”, co posiadał tak rzadkie i bezcenne monety?

A ów zadziwiający telefon do Marczaka w sprawie złotego dukata Władysława Łokietka? Jeśli ta kobieta nie kłamała, oczekiwała nas kolejna rewelacja, jeszcze większa od tej, jaką była sprzedaż denara „Gnezdun civitas”. Sto tysięcy złotych, których żądała kobieta, było niczym w porównaniu z tym, co otrzymałaby na zagranicznych aukcjach numizmatycznych. Może więc rzeczywiście za tymi telefonami i propozycjami krył się ktoś uczciwy, kto po prostu znalazł się w trudnościach finansowych i za dostępną muzeum cenę chciał się rozstać z niektórymi okazami swej kolekcji?

Drugi egzemplarz dukata Łokietka?... Nie, to było zbyt fantastyczne...

Trzeba bowiem wiedzieć, że przez wiele lat panowało w naszej nauce przekonanie, że Polska w pierwszych wiekach istnienia nie miała w ogóle własnej złotej monety. Dopiero rok tysiąc osiemset czterdziesty siódmy odmienił to przekonanie.

W Bośni pod Krakowem miejscowy złotnik kupił od robotników, pracujących przy wykopie ziemi, znalezioną przez nich złotą monetę. Przeznaczył ją na stopienie i już miał zamiar wrzucić do tygła, gdy zwrócił na nią uwagę odwiedzający złotnika ziemianin Niedzielski z pobliskich Sędziejowic. On to odkupił od złotnika złotą monetę za sześć guldenów. Moneta ta okazała się być złotym dukatem Władysława Łokietka, wybitym prawdopodobnie dla uczczenia jego koronacji w tysiąc trzysta dwudziestym roku.

Złoty dukat Łokietka odkupił potem Emeryk Czapski i wraz ze swoimi ogromnymi zbiorami zapisał Muzeum Narodowemu w Krakowie, gdzie znajduje się do dzisiaj. Jest to jedyny egzemplarz na całym świecie.

Właśnie ze względu na jego rzadkość do dziś wśród uczonych numizmatyków toczy się spór, czy dukat Łokietka był monetą obiegową, czy też po prostu próbną edycją, wybitą z okazji uroczystości koronacyjnych.

Prawdopodobnie wybito takich monet tylko kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt.

Jeden egzemplarz! Iluż kolekcjonerów na całym świecie oddałoby majątek za zdobycie takiego okazu...

W świecie numizmatyków i kolekcjonerów pojawiały się od czasu do czasu wieści, że ktoś tam, gdzieś tam widział drugi egzemplarz dukata Władysława Łokietka. Nawet na łamy „Wiadomości numizmatycznych” przenikały sensacyjne wieści o drugim egzemplarzu tej niezwyklej monety. Ale fachowcy-muzealnicy ra-

czej tylko wzruszali ramionami. Istnienie drugiego egzemplarza wydawało się podobne do wiadomości o himalajskim Yeti. Ten i ów widział, ale namacalnych dowodów wciąż brakowało.

I teraz oto tajemnicza pani zaproponowała dyrektorowi Marczakowi sprzedaż drugiego egzemplarza złotego dukata. Czy był to żart? Czy naprawdę istniał drugi egzemplarz?

Jasna była tylko moja rola w tej historii. Miałem odkryć, skąd pojawiły się rzadkie polskie monety. Ale instrukcje otrzymane od dyrektora Marczaka bardzo zawężyły zakres mojej działalności. W Łodzi – jak ogar gończy – miałem wpaść na trop tajemniczego sprzedawcy, nie wolno mi jednak było utrudnić dokonania transakcji. Innymi słowy, miałem być tylko świadkiem aktu zakupu „brakteatu Jaksy” z Kopanicy.

Czasu miałem dosyć. Najpierw więc skontaktowałem się z kustoszem gabinetu numizmatycznego w Łodzi, panem A.G., wielkim znawcą wszelkich spraw związanych z polskimi monetami, autorem wielu prac z tej dziedziny. Umówiliśmy się, że do kawiarni Honoratka przyjdziemy oddzielnie. Usiądziemy przy różnych stolikach, kustosz dokona transakcji, a ja pozostanę obserwatorem. Potem zamierzałem pójść w ślad za panią, która sprzedała „brakteat Jaksy”.

W Honoratce znalazłem się już na pół godziny przed wyznaczonym terminem spotkania i zająłem stolik przy drzwiach. Każdy, kto wchodził lub wychodził z kawiarni, musiał przejść obok mnie. Zresztą niewielka to kawiarnia: jedna mała salka z kilkunastoma stoliczkami. Wieczorem przebywają tu zazwyczaj ludzie ze środowisk artystycznych, przeważnie ze świata aktorskiego i filmowego, w Łodzi bowiem mieści się największa w Polsce wytwórnia filmów fabularnych. Tu także zobaczyć można wieczorem mnóstwo ładnych dziewcząt i chłopców ze szkół artystycznych. Kawiarnia ta słynie ze znakomitej kawy i doskonałej herbaty,

świetnego sernika i smacznej szarlotki. Większość bywalców zna się tu osobiście albo z widzenia, czas odmierza staroświecki duży zegar z kukułką.

Dziesięć minut przed ósmą przyszedł kustosz gabinetu numizmatycznego. Usiadł na kanapce przy trzecim stoliku ode mnie i aby skrócić sobie czas oczekiwania na tajemniczą panią, zajął się wertowaniem jakiegoś naukowego czasopisma.

Zegar wykukał ósmą. Kustosz przeglądał czasopismo naukowe, a ja wlepiłem oczy w drzwi, oczekując, że lada chwila otworzą się i pojawi się w nich tajemnicza dama.

I drzwi otworzyły się...

Lecz zamiast damy wszedł mój dawny kolega ze studiów, Waldemar Batura. Rozejrzał się po kawiarni, dostrzegł mnie i uklonił się grzecznie. Następnie zbliżył się do telefonu stojącego na bufecie, nakręcił numer i krótką chwilę z kimś rozmawiał. Można było pomyśleć, że wszedł do kawiarni, aby skorzystać z telefonu.

Lecz skończywszy rozmowę, Waldemar Batura zdjął z siebie płaszcz, powiesił go na wieszaku i podszedł do mojego stolika.

– Dobry wieczór, drogi Tomaszu – powiedział. – Co robisz w Łodzi? Nie widzieliśmy się chyba z tysiąc lat. Czy można się do ciebie dosiąść?

– Proszę cię – odpowiedziałem uprzejmie. Albowiem domyślałem się już, że tajemnicza dama nie przyjdzie na spotkanie z kustoszem. Powiedziała mi o tym obecność Waldemara Batury.

Kim był Waldek Batura? Szczupłym, średniego wzrostu smagłym brunetem o gładko zaczesanych włosach. Miał twarz delikatną i piękną jak kobieta. Dawniej nosił małe, wytworne wąsiki, teraz jednak był starannie wygolony.

Na studiach uczył się świetnie. Uważano go – i nie bez podstaw – za najzdolniejszego studenta na naszym roku. Posiadał ogromny zasób wiedzy z historii sztuki, a także historii, a przy tym, podob-

nie jak i ja, odznaczał się detektywistyczną żyłką. Pamiętam, że jeszcze na ostatnim roku studiów wspólnie rozwiązaliśmy kilka ciekawych zagadek historycznych i wykryliśmy fałszerstwo znanego obrazu słynnego malarza.

Potem nasze drogi rozeszły się. Rozpoczęliśmy pracę w prowincjonalnych muzeach. Wkrótce dowiedziałem się, że Batura porzucił posesję i nazwisko jego stało się bardzo znane w środowisku handlarzy antyków nie tylko polskich, ale i zagranicznych. Batura kilkakrotnie wyjeżdżał za granicę, do Włoch, Anglii i Niemiec Zachodnich, aby – jak twierdził – pogłębić swoje studia nad starą architekturą. W rzeczywistości prawdopodobnie wciąż zajmował się handlem antykami. Powodziło mu się zresztą świetnie, ubierał się elegancko, miał zawsze najnowocześniejszy samochód. Był bardzo sprytny, brał się tylko do spraw, w których granica między przestępstwem a czynem uczciwym przebiegała w sposób mało uchwytny i jak dotąd tylko raz – i to z mojego powodu – popadł wyraźnie w konflikt z prawem. Tak się jednak chytrze urządził, że odpowiadał nie za faktyczne przestępstwo, ale za drobny incydent związany z tym przestępstwem. Usiłował zdobyć ogromny zbiór bezcennych masońskich zabytków, a udowodniono mu zaledwie... wyłamanie kilku desek w podłodze starego dworu.

Co do mnie – zawsze uważałem Baturę za umysłowość nieprzeciętną, za wielkiego znawcę antyków i dzieł sztuki, znakomitego detektywa. Gdybym miał w nim przyjaciela lub współpracownika, pewien jestem, że żadna z wielkich zagadek związanych z zaginionymi zbiorami nie pozostałaby nierozwikłana. Ale Batura bardzo lubił pieniądze, wytworne stroje i wystawne życie, czego nie mogła mu zapewnić skromna pensja muzealnika. Dlatego miałem w nim nie przyjaciela, ale przeciwnika. I to przeciwnika nietuzinkowego, indywidualność o niezwyklej inteligencji i sprycie.

I dlatego też, gdy tylko wszedł do Honoratki, domyśliłem się, że transakcja nie dojdzie do skutku. Jego zjawienie się w kawiarni nie mogło być przypadkowe. To on krył się za sprawą tych rzadkich monet sprzedawanych naszym muzeum.

– Czy napijesz się kawy? – zapytałem uprzejmie.

– Naturalnie – uśmiechnął się. – Przecież w tym celu przyszedłem do kawiarni.

– Tak? Sądziłem, że wszedłeś tutaj, aby rozejrzeć się, czy jest już kustosz i można bezpiecznie dokonać transakcji. A gdy przekonałeś się, że i ja tutaj przebywam, a więc kustosz jest obstawiony, zadzwoniłeś do pewnej pani, która tu miała przyjść, i odwołałeś całą sprawę.

– O czym ty mówisz, Tomaszu? O jakiej transakcji? O jakiej pani?

– Przecież to ty znasz tę panią, a nie ja – odrzekłem. – Ty również masz „brakteat Jaksy” z Kopanicy.

– „Brakteat Jaksy”? Drogi Tomaszu, raczysz żartować. To bardzo rzadka moneta, a ja, jak wiesz, nie jestem kolekcjonerem.

– Czy naprawdę posiadasz dukat Łokietka? – zapytałem, pomijając milczeniem jego wykręty.

Westchnął ciężko.

– Co z tobą, Tomaszu? Czyżbyś i ty wierzył, że istnieje drugi egzemplarz tego dukata?

– Wyobraź sobie, Waldku, że jakaś kobieta zaproponowała telefonicznie dyrektorowi Marczakowi sprzedaż tego dukata. Za sto tysięcy. Jak sądzisz, czy to nie dowcip?

Batura zastanowił się chwilę. Dla mnie było bardzo ważne, co odpowie na to pytanie. Jeśli zacznie drwić, będzie to znaczyło, że chyba nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Jeśli jednak poważnie się do niej odniesie, zyskam niemal pewność o jego udziale w historii z monetami.

– Złoty dukat? Drugi egzemplarz dukata? – rozważał głośno Batura. – No cóż, taki żart ma bardzo krótkie nogi. Przy pierwszej konfrontacji weźmie w łeb. Od dawna przecież krążyły wieści, że istnieje drugi egzemplarz dukata Łokietka. Może więc ten ktoś, kto go posiada, chce wam go sprzedać? Suma nie jest wielka, biorąc pod uwagę tak rzadką monetę.

– Dlaczego zaproponowano sto tysięcy, a nie milion? – zapytałem.

– Nie wiem, bo niby skąd mogę wiedzieć? Przypuszczam jednak, że ten ktoś jest realistą. Zdaje sobie sprawę, że muzea nie dysponują wielkimi budżetami. Za sto tysięcy złotych muzea mogą kupić drugi egzemplarz dukata, a za milion nie kupią, bo miliona nie mają.

– Dlaczego więc nie sprzeda go za granicą? Otrzymałby za niego taką sumę, że mógłby spokojnie żyć przez wiele lat. Przemyścić dukat nie byłoby trudno: jest cienki jak papier, a ma wielkość paznokcia.

– Nie wiem, Tomaszu – wzruszył ramionami Batura. – Pytasz mnie jak jasnowidza. A mnie trudno odpowiadać w czyimś imieniu.

Nie dawałem za wygraną.

– A ty, Waldku? Co ty zrobiłbyś, gdybyś był w posiadaniu złotego dukata Łokietka? Jestem przekonany, że zamiast oddać za sto tysięcy złotych, wywiózłbyś go za granicę i sprzedał na jakiejś międzynarodowej aukcji za sto tysięcy dolarów.

Batura pokręcił głową.

– Mylisz się, Tomaszu. Wiem, że uważasz mnie za łajdaka, ponieważ dla ciebie każdy zabytek to świętość narodowa, a ja ośmielam się handlować tymi świętościami. Ale to nie takie proste. Mogę handlować starymi lampami naftowymi, starymi szablami i stylowymi meblami, ale to nie znaczy wcale, że gdybym posiadał rzecz naprawdę bezcenną dla narodu, jak drugi egzemplarz duka-

ta, sprzedałbym ją za granicą. Też jestem patriotą, Tomaszu, choć trochę innym niż ty. I wierz mi: gdybym wiedział, że istnieje ktoś, kto rzecz naprawdę bezcenną pragnie sprzedać obcym, wywieźć z naszego kraju, oddałbym go w ręce milicji. Co nie znaczy, Tomaszu, że w dalszym ciągu nie będę handlował starymi lampami naftowymi, meblami lub pośredniczył w sprzedaży starych ikon. Pamiętaj: jestem zdolny do tego, co w twoim pojęciu jest nieuczciwością, ale nie zamierzam stać się łajdakiem – tak mówił Waldek Batura i szczerść brzmiała w jego głosie.

Kątem oka obserwowałem kustosza. Nie mogąc doczekać się tajemniczej kobiety z brakteatem, złożył wreszcie swoje naukowe pismo, zapłacił za kawę i opuścił kawiarnię. Zapewne podobnie jak i ja doszedł do wniosku, że tajemnicza kobieta nie przyjdzie i transakcja nie dojdzie do skutku.

Przez chwilę pomyślałem, że należy przerwać rozmowę z Baturą, pójść za kustoszem i omówić z nim nową sytuację. Ale doszedłem do wniosku, że kontynuowanie rozmowy z Baturą przynieść może więcej korzyści. Jeśli upewnię się, że to on kryje się za sprawą tych monet, moje zadanie zostanie spełnione, wpadnę na poszukiwany trop. Zresztą do kustosza mogłem zadzwonić po skończeniu rozmowy z Baturą i umówić się z nim na wypadek, gdyby ta kobieta od brakteatu znowu się z nim skontaktowała i wyznaczyła jakiś inny dzień i inne miejsce na spotkanie.

– Chciałbym ci wierzyć – powiedziałem do Batury. – A poza tym nie widzę powodów do ukrywania celu mojego przyjazdu do Łodzi. Naszym muzeum w ostatnim czasie zaoferowano do kupna kilka bardzo rzadkich monet polskich: denar Mieszka I, denar „Gnezdun civitas”, „brakteat Jaksy” z Kopanicy. I, jeśli wierzyć telefonowi, złoty dukat Łokietka.

– Czy ceny wydały się wam zbyt wygórowane?

– Och nie. Zaoferowano je nawet bardzo tanio. Dlatego zakupiono już denar Mieszka I i denar „Gnezdun civitas”. Dziś, tutaj, w Honoratce, miała być dokonana trzecia transakcja: kupno „brakteatu Jaksy”. Ale kobieta, która oferowała ten brakteat, nie przyszła na spotkanie. Natomiast zjawiłeś się ty, Waldku...

– Rozumiem. Podejrzewasz, że ja w tej sprawie maczam palce – pokiwał głową.

– Transakcje, które doszły do skutku, dokonane zostały przez osoby podstawione. Ktoś się kryje za tą sprawą.

– Kto?

– Ty. Oczywiście ty.

Waldek roześmiał się.

– Jesteś żartownisiem, Tomaszu. Czy sądzisz, że raptem wykopałem z ziemi jakiś skarb?

– Tak nie myślę. Wśród monet, jakie od czasu do czasu wyorują z ziemi rolnicy, może znaleźć się jakaś jedna rzadka w powodzi innych, mało wartościowych. Trudno uwierzyć, aby w takim skarbie obok denara Mieszka I i denara „Gnezdun civitas” znalazły się również „brakteat Jaksy” i złoty dukat Łokietka.

– Więc sądzisz, że ukradłem gdzieś te monety?

– Nie. Po prostu wszedłeś w posiadanie jakiejś bardzo ciekawej, zaginionej podczas wojny, kolekcji starych monet. Oczywiście jestem ci bardzo zobowiązany za to, że nie usiłowałeś przeszwarcować ich za granicę, a zaoferowałeś je naszym muzeum.

– Nie masz żadnej pewności, że to ja kryję się za tą sprawą.

– Jutro, Waldku, będę już wiedział, z czyjej kolekcji pochodzą te monety. Nasz departament posiada prawie pełny rejestr wszystkich wybitnych kolekcjonerów i spis ich kolekcji, tych sprzed wojny i po wojnie. Nie tak wielu kolekcjonerów szczyliło się posiadaniem „brakteatu Jaksy”.

Blefowałem. Nasze rejestry były bardzo skąpe. Wielu prywatnych kolekcjonerów okrywało tajemnicą swoje zbiory. Czy Batura zdawał sobie z tego sprawę?

Powiedział:

– Nie bardzo rozumiem powód twojego śledztwa. Nawet jeśli masz rację i te monety pochodzą ze zbioru jakiegoś słynnego kolekcjonera, to przecież nie jest wykluczone, że ten właśnie kolekcjoner teraz się pozbywa niektórych okazów, być może podwójnych.

– Nie wierzę, aby ktoś posiadał aż dwa denary „Gnezdun civitas” i dwa egzemplarze dukata Łokietka.

– Albo w czasie wojny pozbył się swej kolekcji i trafiła ona w inne ręce? Iluż ludzi w warunkach wojennych znalazło się w tak ciężkiej sytuacji, że gotowych było za kawałek chleba oddać najcenniejsze okazy ze swoich zbiorów? Czy w czasie wojny przerożeni paskarze nie kupowali nawet Rubensów za kawałek masła?

– Tak. Prawda – zgodziłem się. – I my nie chcemy specjalnie wnikać w te wszystkie sprawy, zresztą bardzo skomplikowane ze względu na minione warunki wojenne. Ale nabywając jakieś bezcenne zabytki, pragniemy jednak wiedzieć, skąd one pochodzą. Błędem byłoby przypuszczać, że moje śledztwo ma doprowadzić do wykrycia jakiegoś spisku, szajki czy bandy złoczyńców i spowodować ich aresztowanie. Po prostu musimy poznać prawdziwe źródło, kapiące bezcennymi monetami. Być może ten tajemniczy „ktoś” ma znacznie więcej bardzo cennych monet, a sprzedaje je nam po jednej, po dwie, po trzy. Może uda się nam z nim skontaktować i zakupić cały zbiór? Nie wszystkie nasze muzea mają gabinety numizmatyczne.

– I sądzisz, że tym tajemniczym „ktoś” jestem ja – rzekł Batura.

– Tak – odpowiedziałem. – Tylko zastanawia mnie jedno: na co liczył tajemniczy „ktoś”, oferując w tak krótkim czasie aż kilka bezcennych monet? Przecież musiał przypuszczać, że to wzbudzi podejrzenia w naszym departamencie.

Batura roześmiał się i odrzekł beczelnie:

– Może potrzebował pieniędzy? A może sądził, że ty i na sierpień pozostaniesz we Francji, a tę sprawę dyrektor Marczak powierzy na przykład magistrowi Pietruszce?

– Dziękuję ci za słowa uznania – powiedziałem.

Zegar w Honoratce zakukał dziewięć razy. Pora było kończyć rozmowę i wracać do Warszawy. Przeprosiłem na chwilę Baturę i podszedłem do telefonu. Połączyłem się z prywatnym mieszkaniem kustosza.

– Co?! Co się stało?! – krzyknąłem w słuchawkę, bo to, co usłyszałem od kustosza, wydawało się wprost niewiarygodne.

Gdy kustosz wracał do domu po nieudanym spotkaniu, tuż przy drzwiach na klatkę schodową, prowadzącą do jego mieszkania, natknął się na mężczyznę, który powiedział, że przychodzi w imieniu tej pani, która, niestety, nie mogła przyjść do kawiarni na spotkanie, ponieważ zachorowała. Ten pan wyjaśnił, że ma ze sobą „brakteat Jaksy” i transakcja może natychmiast dojść do skutku. Kustosz miał nakaz dokonania zakupu, zaprosił więc tajemniczego osobnika do siebie, obejrzał monetę, stwierdził jej autentyczność i po spisaniu personaliów osobnika wypłacił mu żadaną sumę. Właśnie przed chwilą człowiek ten, zapewne osoba również przedstawiona, opuścił mieszkanie kustosza.

– Zaraz będę u pana – rzuciłem do telefonu.

I wróciłem do stolika, gdzie wciąż jeszcze siedział Waldek Batura. Spojrzałem na niego ponuro.